

Katarzyna Kotaba, Joanna Rusinek

Z Joanną Rusinek rozmawia Katarzyna Kotaba

Katarzyna Kotaba: W swoim dorobku posiada Pani kilkadziesiąt zilustrowanych książek dla dzieci. Czym jest dla Pani uprawiany przez Panią zawód?

Joanna Rusinek: Trudno odpowiedzieć, jak się ten zawód uprawia, kiedy jest się w nim całkowicie zanurzonym. Łatwo wtedy bowiem użyć słów-naklejek typu pasja. Ja po prostu bardzo lubię to, co robię. Moja koleżanka po fachu, która oprócz ilustrowania także wydaje książki, powiedziała kiedyś najprościej, że lubi ładne rzeczy i chciałaby, aby było ich coraz więcej oraz że cieszy się, że może je tworzyć. W pełni się z nią zgadzam.

K.K.: Rynek wydawniczy w ostatnich latach otworzył się na nowe, dobrze zilustrowane książki.

J.R.: Tak, to prawda. Powstaje dużo niszowych wydawnictw tworzonych przez ludzi z pasją, którzy nie boją się eksperymentować i robią piękne książki.

K.K.: Dlaczego zdecydowała się Pani na ilustracje dla dzieci?

J.R.: Dlaczego w ogóle ilustracje? To był przypadek. A dlaczego dla dzieci? Bo tak wygląda rynek ilustracji. Ilustruje się niewiele książek dla dorosłych. Jeśli autor zakłada, że jego „dorosła” książka powinna mieć ilustracje, to zazwyczaj ma na myśli jakiegoś konkretnego artystę. Natomiast książki dla dzieci są w większości ilustrowane. Zdarzyło mi się ilustrować książki dla dorosłych, ale bardzo niewiele. Czasami wydawnictwa wydają ilustrowane książki dla dorosłych, jak np. *Życie Pi*. Wydawnictwo postanowiło zrobić taką książkę-bibelot, dla tych, którzy lubią obrazki. Udało mi się też zilustrować *Limeryki i inne wariacje*. Bardzo to lubię jako płodozmian.

K.K.: Czy jest ktoś, kogo określiłaby Pani mianem swego mistrza? I dlaczego?

J.R.: Chyba jest tak, jak mówi przysłowie „Czym skorupka za młodu nasiąknie...”, a moje dzieciństwo przypadło na czas książek ilustrowanych przez Janusza Stannego czy Jana Marcina Szancera. Moi rodzice mieli bardzo dużo książek ilustrowanych przez Szancera i to było dla małego dziecka niezwykle piękne doznanie. Chciałabym oddać hołd autorom okresu lat 70., którzy uzyskiwali fantastyczne efekty graficzne za pomocą ograniczonych wówczas środków. Kolejna sprawa to książki, które mój

tata i stryj przywozili ze Stanów Zjednoczonych i z Anglii. To były takie cieniutkie książki, cudownie pachnące zagranicą. Niestety, nie pamiętam autorów. Były też tam przedruki z lat 60., piękne, zarówno kolorystycznie, jak i graficznie. Gdybym miała jednoznacznie wskazać swoich mistrzów, to byłiby to Szancer i Butenko. Podobno jeden był uczniem drugiego, choć ich style różniły się diametralnie. Butenko doszedł do czegoś, co można nazwać wyrafinowaną prostotą. Chciałabym kiedyś osiągnąć taki poziom.

K.K.: Od czego zaczyna się u Pani proces twórczy?

J.R.: Wszystko zaczyna się od przeczytania tekstu. Niektóre utwory od razu poruszają i od razu zaczynają pojawiać się pomysły na sceny. Jeśli tak się dzieje, to zapowiada to fantastyczną pracę. Czasem muszę się bardziej „wgrzyźć w tekst”, wysilić i wymyślić jakąś ilustrację. Od myślenia wszystko się zaczyna, później jest etap wybierania techniki i niestety obliczania czasu do tzw. deadline’u. Kiedy dostosuję możliwości do czasu, szkicuję ołówkiem na papierze, czasami używam technik akwarelowych, następnie to skanuję i obrabiam w komputerze. Zawsze wychodzę od szkicu do komputerowych działań.

K.K.: Pierwszy powstaje tekst czy obraz?

J.R.: Zdecydowanie tekst. Jest jeden przypadek, kiedy najpierw powstał obrazek – to książka *Samotny Jędrus*. Ja ją wymyśliłam. Najpierw był tytuł, później przyszedł pomysł na połączenie go ze wspomnieniami z mojego dzieciństwa, czyli z rysowaniem kredą na asfalcie. Wysłałam rysunki autorowi tekstu Wojciechowi Wiślakowi, który najpierw powiedział, że nie ma czasu, ale na szczęście dla książki – zachorował i w ciągu kilku dni napisał tekst. Dorobiłam jeszcze i zmieniłam ilustracje.

K.K.: Kto decyduje, który fragment tekstu ma zostać zilustrowany – Pani, autor tekstu, wydawnictwo czy to wspólna decyzja?

J.R.: Zazwyczaj ja, ale często jest też tak, że wydawnictwo ma swój pomysł i wysłała mi makietę książki z zaznaczonymi momentami, które są ważne. Czasem też autor przekazuje swoje sugestie. Jednak zwykle to na mnie spoczywają te decyzje.

K.K.: Jakie techniki malarskie Pani stosuje i od czego zależy ich wybór?

J.R.: Głównie są to farby akwarelowe, a konkretnie to kolorowe tusze syntetyczne. Bardzo się do nich przyzwyczaiłam. Czasem mam ochotę spróbować czegoś nowego i poeksperymentować, np. z wycinanką. Akwarela jest tą metodą, w której czuję się najbardziej komfortowo. Książki bardziej liryczne wręcz wymagają użycia tej techniki. Trudno to jednoznacznie określić, bo często działam na tzw. wycucie. Troszkę zależy to od tekstu, bo to w nim, w jego klimacie, ukryte są wskazówki.

K.K.: Obserwując Pani ilustracje, wyraźnie można dostrzec, że stosuje Pani m.in. technikę ograniczonego pola widzenia lub też skoncentrowanie światła na danym obiekcie (*Ostatnie piętro*, *Bezszenność Jutki*), czy też zestawienie ze sobą dwóch przeciwstawnych obrazów, np. wielkiego cienia z małym chłopcem (*Rany Julek*). Obrazują one, w pierwszym przypadku, dramat wojennej sytuacji, a w drugim są rodzajem

zabawnej gry z odbiorcą, elementem komizmu. Skąd pomysł na zastosowanie takich metod?

J.R.: Lubię i podziwiam artystów, którzy umieją myśleć i przenosić na papier swój pomysł w sposób „plakatowy”, czyli na zasadzie skrótu myślowego. Staram się, o ile potrafię, działać podobnie. Ilustracja powinna być właśnie takim skrótem i wskazywać na to, co jest najważniejsze dla mnie w danym fragmencie tekstu i co jest ważne dla autora. Zatem muszę wyłowić to z tekstu, który mam zilustrować. Dotyczy to zarówno klimatu, jak i problematyki. Im mniejszą ilością środków udaje się to pokazać, tym bardziej mnie to cieszy. W przypadku *Bezsensowności Jutki* chciałam, żeby efekt końcowy był minimalistyczny, nie chciałam zapełniać zbyt mocno tych ilustracji, ograniczyłam się tylko do ołówka. Chciałam zostawić i przekazać tylko te najważniejsze informacje o postaciach. Podobnie jak po obejrzanym filmie, niektóre sceny zostają w głowie i prowadzą dalej myśl. Sztuka polega na tym, by pokazując dwie postaci, opowiedzieć jakąś ważną historię o nich, np. wyolbrzymiając coś lub pomniejszając. Te sposoby można podglądać i zaczerpnąć właśnie z filmów.

K.K.: Jest Pani również autorką ilustracji do książek swojego brata, Michała Rusinka. Czy może Pani zdradzić, jak pracuje się z własnym bratem? Kto w tym duecie ma decydujący głos?

J.R.: Mamy podzielone role. Dobrze się pracuje z bratem. Szykujemy się do kolejnej książki w tym roku. Pracując z nim, wiem, o czym będzie kolejna książka, choć jeszcze nie ma tekstu, bo brat opowiada o pomysłach na nią. Czasem ma uwagi do tego, co jego zdaniem jest najważniejsze, ale nie dotyczy to każdej ilustracji. Ufamy sobie, bo mamy podobne gusta i dlatego łatwo i dobrze się nam współpracuje.

K.K.: Na swoim koncie ma Pani również ilustracje do artykułów prasowych dedykowanych dorosłym. Trudniej tworzy się dla dzieci czy dla dorosłych? Dlaczego?

J.R.: Zdecydowanie dzieci są trudniejszymi odbiorcami. Dzieci bardzo pilnie studiują ilustracje. Są w stanie zauważyć, np., że bohaterka ilustracji nie ma tak kręconych włosów jak jest napisane w tekście. W przypadku ilustracji do artykułów jest to ćwiczenie plakatowego sposobu myślenia. Bardzo lubię, że przy tego typu ilustracji można sobie pozwolić na autorskie skróty myślowe, które są jak rozwiązywanie zagadek matematycznych. Można bowiem pozwolić sobie na pewien poziom ogólności, który ma być konceptem, skrótem, czymś mocnym. Dzieci są bardziej wymagającymi odbiorcami. Trzeba być czujnym.

K.K.: Jakiego tematu dla dzieci nie podjęłyby się Pani zilustrować?

J.R.: Mam problem z piłką nożną. Zilustrowałam trzy książki o tej tematyce. To było trudne, bo piłka nie jest moją pasją. Jednak pomimo tego książki te fantastycznie się sprzedały i są bardzo popularne. Nie przeszkodził zatem brak piłkarskiej pasji, bo to też zasługa autora tekstu. W przyszłości ją nieco ograniczę. Nie wytrzymałabym też skoków narciarskich, bo to według mnie szalenie nudna dyscyplina. Chyba, że byłaby to minimalistyczna książka: biała plama i mały skaczący ludzik i tak na każdej stronie.

K.K.: Czy jest taki tekst literacki (nie tylko dla dzieci), o zilustrowaniu którego Pani marzy?

J.R.: Mam ulubioną książkę, która się prosi o zilustrowanie, ale nie wiem, czy podjęłabym się tego zadania. Jak się ma taką ulubioną książkę, to można poczuć się spalizowanym. To jest książka *Bóg rzeczy małych*. Jest przepiękna, ale nie wiem, czy fakt, że czytając ją, sama widzę obrazy, nie dowodzi tego właśnie, że ona ilustracji nie potrzebuje. Jest napisana w taki sposób, że sama siebie ilustruje i sama siebie pięknie opowiada. Sądzę, że trudno byłoby mi zrobić do niej ilustracje, które nie byłyby ornamentem. Czasami nie trzeba mówić za dużo. Ale jest to jeden z tekstów, który bardzo porusza moją wyobraźnię. Traktuję to jako marzenie niemożliwe do spełnienia.

A zrealizowane może zostanie coś innego. Jest to tekst, który jeszcze nie istnieje, a dotyczy postaci mojej przyjaciółki, która mieszka we Francji i której zawsze przytrafia się coś dziwnego, coś śmiesznego. W dodatku ma ona niesamowity dar opowiadania historii, tak że można pęknąć ze śmiechu. W prezencie urodzinowym dla niej zilustrowałam jedną z tych jej historii i pomyślałyśmy później, że fajnie byłoby zrobić tom komiksów o jej przygodach. I to jest takie bardziej realne marzenie.

K.K.: Jaki projekt był dla Pani do tej pory największym wyzwaniem?

J.R.: Zawsze największym wyzwaniem są tzw. trudne książki, poruszające ważne problemy, np. *Bezszenność Jutki*, *Zakłęcie na „w”* i teraz *Wędrówka Nabu*. Ta ostatnia jest najświeższą książką, dlatego teraz o niej dużo myślę. Są jednak wyzwania, które są bardzo twórcze, to jest gimnastyka dla mózgu, więc życzę sobie więcej takich wyzwań. Trzeba w nie włożyć trochę pracy, żeby nie przesłodzić i nie uczynić ich też zbyt smutnymi, i oczywiście mieć też na uwadze, że są one przeznaczone dla dzieci.

K.K.: Gdyby ze stworzonych przez siebie do tej pory ilustracji musiała Pani wybrać jedną: najbardziej ulubioną, taką którą darzy Pani największym sentymentem, taką, która ma dla Pani z jakiś względów największe znaczenie, to którą Pani by wybrała?

J.R.: Zdecydowanie *Wędrówkę Nabu*, bo jest najświeższa i ciągle we mnie jeszcze tkwi. Być może będzie jeszcze jakiś ciąg dalszy tej historii. Mam oczywiście sentyment do pierwszej książki, którą zilustrowałam, ale już nie mogę na nią patrzeć. Mam też duży sentyment do wierszy Brzechwy, bo to był dla mnie zaszczyt, że mogłam zrobić ilustracje do jego wierszy. Z dużymi wypiekami na twarzy zilustrowałam tę książkę.

K.K.: Czy ma Pani ulubioną ilustrację z dzieciństwa bądź taką, która zrobiła na Pani największe wrażenie? Dlaczego?

J.R.: Dużo mam takich. Zaliczają się do nich *Baśnie* Andersena ilustrowane przez Stasysa. Wgapiałam się w te ilustracje, ponieważ ich kompletnie nie rozumiałam. Było tam mnóstwo skrótów myślowych posuniętych w bajkowe, nieprawdopodobne światy. Były ponure, mroczne i chyba dlatego zostały mi w głowie. Książka gdzieś zaginęła, ale ilustracje pozostały we mnie i do tej pory mogę je sobie bez trudu przypomnieć.

K.K.: Czy pamięta Pani swój pierwszy samodzielnie wykonany rysunek jako dziecko? Co przedstawiał?

J.R.: Nie, bo zarzucałam moją rodzinę laurkami i różnymi rysunkami. Byłam przyzwyczajona do tego, że mama mówi „ślicznie, ślicznie, a co to jest?”. Pamiętam natomiast, że tworzyłam książki o historiach rodzinnych, zszywałam je zszywaczem bądź też dziurkowałam i przewlekałam różne sznurki. Zazwyczaj książki miały jakieś 60 stron, ale zarysowane były tylko pierwsze trzy, natomiast ponumerowana była każda strona. I bardzo dokładnie odwzorowane logo „Naszej Księgarni” na stronie czwartej. Czasem były to też książki minimalistyczne, bo była tylko jedna kartka złożona na pół i podobno napisałam najkrótszą historię miłosną, czyli narysowałam jakąś parę: panią w sukni i pana, który trzyma ją za rękę i napisałam „On ją kochał, ona jego tagże”. (pisownia oryginalna)

K.K.: Kto uczył Panią w dzieciństwie rysować? Czy wiąże się z tym jakaś historia, rytuał?

J.R.: Myślę, że odziedziczyłam zdolności artystyczne po mamie, która jest niespełnioną artystką. Spełnia się dopiero teraz w różnych artystycznych rękodzielnach. Zawsze potrafiła pięknie rysować, tylko nie podążyła w swojej karierze tą drogą i żałuje do tej pory. Mnie to zostało przekazane w genach. Muszę powiedzieć, że nie byłam genialnym dzieckiem. Pamiętam, że jeszcze w liceum próbowałam **rysować ze zdjęć**, ze strasznymi efektami... Ale wymyśliłam sobie, że to jest to, co chcę robić. Szkołę miałam na różnych kursach przygotowawczych, m.in. u prof. Zbyluta Grzywacza, studiowałam też rok na uczelni, która w tym czasie nosiła miano Akademii Pedagogicznej. Po drugiej próbie dostałam się na ASP.

K.K.: Jakie cechy charakteru są przydatne w pracy ilustratora? Dlaczego właśnie te?

J.R.: To jest dobre pytanie. Kiedy zajmowałam się tworzeniem filmów animowanych, najbardziej przydatne były spore pokłady cierpliwości. Kiedy ukończyłam film dyplomowy na ASP, trochę uciekłam od animacji. Przy ilustracji trzeba lubić medytować. Ilustrowanie jest jak robienie robótki ręcznej, przy której można słuchać radia lub audiobooka. Jest to zajęcie medytacyjno-uspokajające. Choć czasem oczywiście należy się spieszyć, żeby zdążyć dotrzymać terminu oddania ilustracji. W pewnym sensie jestem jednoosobową firmą, bo odpowiadam na e-maile, kontaktuję się z klientami. Uczę się utrzymywać higienę pracy, by pracować tylko w ciągu tygodnia a w sobotę odpocząć.

K.K.: Co najbardziej Pani lubi w swojej pracy?

J.R.: Dwa momenty: pierwszy, najbardziej charakterystyczny dla pracy nad ilustracją prasową, czyli moment kombinowania, jak pokazać dany temat, a drugi moment to takie mantrowe zawieszenie i dzierganie ilustracji niczym sweterka na drutach. Często z kotem na kolanach, dla dopełnienia wizerunku babci.

K.K.: Czy na koniec naszej rozmowy może Pani uchylić rąbka tajemnicy i zdradzić swoje plany ilustratorskie na najbliższą przyszłość?

J.R.: Będzie bardzo ładna książka o niewidomym chłopcu napisana w stylu podobnym do przygód Mikołajka. Są to drobne historyjki i każda z nich pokazuje samodzielność niewidomego chłopca, jego zaradność i umiejętności specyficzne tylko dla niego. Książka pokazuje, jak się odnosić do takiego problemu, jak się z nim mierzyć, ale bez natrętnego dydaktyzmu. Miło mi się ją czytało i ilustrowało. Będą też projekty filmowe, ale nie mogę jeszcze zdradzić szczegółów, bo jest to we wstępnej fazie. Przymierzam się do projektowania postaci do filmów. Będzie też książka na spólkę z bratem.

K.K.: Dziękując za rozmowę, życzę Pani dalszych wyzwania ilustratorskich i czasu, nieustającej pasji do tworzenia, nowych pomysłów i nowych zleceń.

Joanna Rusinek – polska ilustratorka książek dla dzieci i artykułów prasowych, graficzka, autorka okładek książek i plakatów. Ukończyła Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie na Wydziale Grafiki. Współprowadzi studio graficzne *Kreska i Kropka*. Ponadto jest współautorką filmu animowanego *Wierszyki domowe*. Na swoim koncie ma ilustracje m.in. do takich książek, jak: *Bezsenność Jutki* Doroty Combrzyńskiej-Nogali, *Samotny Jędrus* Wojciecha Widłaka, *Mały Chopin* Michała Rusinka, *Ostatnie piętro* Ireny Landau czy *Wędrówka Nabu* Jarosława Mikołajewskiego. Mieszka i pracuje w Krakowie.

Katarzyna Kotaba – absolwentka polonistyki na Uniwersytecie Jagiellońskim. Obecnie doktorantka literaturoznawstwa na Uniwersytecie Pedagogicznym im. KEN w Krakowie. W jej obszarze zainteresowań naukowych znajduje się: literatura dla dzieci i młodzieży ze szczególnym uwzględnieniem twórczości Doroty Terakowskiej, antropologia dziecka i dzieciństwa, krytyka archetypowo-mitograficzna. Przygotowuje rozprawę doktorską poświęconą archetypom w twórczości Doroty Terakowskiej.